

Adam Kielbasiewicz



Synopsis

{ - ΣΥΝΟΨΙΣ - }

+18

Jaworzynka-Śliwkula (2011) 2012

+18

Sobie Pisanie

T. XXIII²

Synopsis { - συνοψις - }



Copyright © Adam Kielbasiewicz

Jaworzynka-Śliwkula (2011) 2012



Synopsis

{ - *ΣΥΝΟΨΙΣ* - }

Położyłem Cię na wilgotnej ziemi rosą obmywałem
Twoje oczy łzą poilem kiedy byłem tylko z Tobą sam
na sam w zakamarkach dłoni schowany cały świat
ucałowałem dobroci wdziękiem okruchami
powszedniości dniem za dzień powszedni chleb do
chleba nóż z miłością dziękczynienia...

Nagość Twoja strojna moich palców gamą co
delikatnie biegną cierpliwą kantatą drogą tak mało
uczęszczaną po drodze poznając pamiętają
zachwycają się rozpamiętując tworząc i komponując
rozpalają...

Napisałem siebie i pod kamieniem schowałem jak
wiadomość ważną skrycie przekazałem światu
powierzyłem czasom i ukryłem dobrze na drodze
którą często chadzasz abyś w niebo patrząc o mnie
się często potykała...

Zbyt dosłowny jestem w codzienności zmartwieniem
niosąc przechodniom smutku kroplą za smutki
spojrzenie przez powieki przymknięte opuszczone ku
ziemi ślad zostawiam zroszony zawilgoconych
korzeni...

To wszystko jest szalone od stóp aż do ust szalone
rozpromienione migotaniem barw myśli słów
pożądań i pragnień szalony ja i Ty szalona
szaleństwo nasze nieskromnie nieskończone
nieposkromione...

Dłońmi szeptem spacerowym szelestem tonem
przebiegam po Tobie w zaciszu spętanym pomiędzy
naszymi oczyma rozbiegają się tęsknoty czarno-białe
na strony kolorowe nakładają się drukiem to poezji
to prozy prognozy...

Słonecznoskrzydła o zapachu intensywnie zielonym
do nieba wyskoczyłaś szerokolistnie objęłaś i
przytuliłaś obłokiem białej tęsknoty zaplątanej w
węzeł cnoty...

Krokoistna w gonitwie tęsknoty spływającej
szlakiem oczu na piersi gościnnie odsłonięte
zachwytem porankowym obudzona delikatnym puk-
puk-puk podkuwek zagonionych...

Ocieniona zachwytem dotknięta serdecznie
paluszką ledwie poczętą przed tygodniem
jeszcze dziewczynką pozostając mamą się stając na
początku jednym z wielu Kropkiem – daj Bóg –
silnym pięknym mądrym i zdrowym...

Zagadniona pytaniem tajemnicy co ciekawa
nieskromnie przed oczyma staje nagością bezdomnie
póki domu nie znajdzie gościnnego bardziej
przestronnego otwarcie przed chwilą
wtajemniczonego poufale z ust w serce szeptanych
słów laikom nie ciekawych...

Metamorfozy żarem słów nie oddają ciepła z obawy
by nie spopielić wspomnieniem żywych obrazem
martwych myśli nakrytych papierowym kapeluszem
codzienności malarzem co zawitał w gości...

Kosmyk pamięci wokół paluszka owinięty ciasno
dłoń przy dłoni krwią opisany na wewnętrznej
stronie życia co przechodzi krótkim krokiem z tamtej
na tę stronę i dalej nie patrząc zbytnio za siebie idzie
na tamtą stronę by nie zapomnieć...

Głodnych całowaniem policzków nieskromnych
czerwienią wyczarowaną tchnieniem wilgotnym
śladem naznaczona w przelocie pomiędzy tym co
nazwane a tym co pod zwykłym słowem schowane
nie z lęku lecz by być znakiem tajemnicy tęsknoty...

Zaklinam Cię czułości pocałunku cicha jak milczenie
czasu co czeka na pieszczotę wspomnień bez
skromności podejdź westchnieniem obejmij
zmrużeniem bez zastanowienia dokonaj
zjednoczenia...

Ziewaniem daję znać o drodze do raju opowiadać
będę na skinienie palcem jednym najmniejszym
kierowany w życiu przykazaniem Twoim losem
zawstydzony kajaam się by zmienić się choć o jotę...

Zwrócona ku mnie uwagę odwracasz żółtym
kwiatem ku słońcu i niebu wyruszamy razem pod
rękę podkładając kamień i pod nim kamień
murowany szaniec naszej wolności wzajemnie sobie
raz za razem danej...

Kwiatem jesteś słowem zadbanym wiosną
przemieszanym i jesienią z latem pójdiesz w taniec
kolorowy zachwyty Ci pisany listem skojarzonym z
obłokiem co ochroni przed oczu złych myśli
nasączonych pospółstwa widokiem...

Zakładam że nic się nie stało nogę na nogę
wypatrując gdzie się działo ozwało głos wydając mi
Ciebie Tobą obdarzając jak sumieniem diamentem
przejrzystym kryształem cierpliwie szlifowanym...

Plotka liściem urwanym z dalekiego kraju
niewidomym i głuchym powierzona w tajemnicy
wykrzyczana w głąb czeluści gdzie łatwo wrzucić i
ukryć się chcę na zawsze od kiedy tylko iskrę w
żrenicy schowałem przed światem zazdrosnym i
nienawistnym pragnień zwykłych tylko
czarnobiałych...

Drzazga wbita do bólu życie rozkołysze nie mocniej
niż myśl w sercu zapomniana że słyszę okruchy
chleba na dłoni zebrane w domyśle gdzie trzeba
znów zagonić rozproszone słowa w pełne gładkie
zdania...

Przelewam zachód słońca w pustą przestrzeń idei
kołyszę słowo w słowo tu ujmą porę słów zbyt
prostych tu znowu dopiszę Twoje Imię zapamiętam
poza wschód księżyca i gwiazd co wyszły w mleczną
drogę ciszy...

W pokoju zostawiłem dom za sobą nie spaliłem ani mostu ani kładki ani trzciny nadwątlonej nie zламаłem nikomu danej obietnicy pilnowałem z ogniem na straży w nocy i w dzień stróżowałem nad bezpieczeństwem Twoim mi ofiarowanym w darze...

Kwiatów zerwanych wczorajszym wieczorem
wyśpiewanych w kołysanki słów cicho nuconych
zamieniam szeptem znużonym całodzienną pracą na
chleba kawałek rozkrojony na dwoje świata swojego
dla Twojego na własność zdobyć by oddać za
bezbronność słabość i za zaufanie...

Między wczoraj i dziś powstał poemat marzeń ze
słów co z tęsknot zrodzone i wyobrażeń zapisanych
przez oczy na białych kartkach nieświadomych
posłannictwa i losu co jeszcze budzi skojarzeń
połączenia iskier przeganianych i podawanych dalej
i dalej i dalej w dzień budzący się z nocą pod
znakiem rozstania...

Pograżona w mej pamięci zamilkłaś na zbyt długo
czas odejmując od chwili i godziny od niepamięci
niestosownej w Twoim wieku bez porażki dotąd w
zmaganiach co siłą rzeczy ku przepaści wiodą w
nowy początek ziemi nowej w nowym człowieku...

Wczoraj odeszło w nieskończoność farbowaną na
zółto i brązowo tchnieniem powłóczystych spojrzeń
tęsknot snutych i słów co powoli wpadły w
zapomnienie pokoleń straconych dla poezji przez
wulgarność dosłowności i groteskę miłości samego
siebie...

Zagwieżdżona na nieba pokłonie ku ziemi matce w
ojczyźnie opuszczonej wędrówką myśli zdobytej
przez zdolnych do zmian i do bycia innym niż
pokolenie zmian przechodzących do historii niebycia
tylko rekwizytem astronomii współczesnej co znaczy
tylko na chwilę...

Pachnący mrokiem niedzielnym tulę do Twoich oczu
tkliwość pieśczoły liter które postawiłem w tym
tylko jednym celu na pergaminie czy na papirusie
atramentem wieczności bardziej niż spżem by z
czasem wyrośnięte ponad trawy i kwiaty nie odeszły
jak dzwony przetopione na armaty...

Szukam Cię w natchnieniu zapisuję siebie oddać
chcę w niewolę Tobie objawić gramatyczność w pół
śnie i w pół jawie co przeżyłem dotykałem sercem
zapamiętałem i tylko Tobie klucz zostawię...

Na zewnątrz blaskiem opleciona wspomnieniami
zapląta w historię tylko w połowie swoją
obecnością onieśmielasz myśli moje choć tak bardzo
odważne wobec słów co zostają między nami dobrze
nie dopowiedziane...

Do horyzontu rozkrzyczanych białych mew pisaniem
otwartym na wschód i zachód gwiazd za
nieboskłonem przygód co nie moje i nie Twoje
skromnie złożone nam w depozyt wspomnień i
marzeń o sobie nawzajem mamy by nieskromnie
czynić pod czujnym okiem Jedynego Widza...

Koronkowo słowo przetykam drugim słowem oddaję
się sztuce niedopowiedzeń i niedomówień garść
pełną dorzucę wspomnień gorących chwil na poły
lubieżnych i na poły mniszych w kapturach
codzienności skrytych w zamtuzach świąteczności
obmytych wzdychaniem i łzą rozstania dwojga źrenic
potoków...

Zemsta korowodów szkarłatem pozorów snuje się od
ucha plotką stu i jednogębną wpadając do ucha i
siejąc grozę ciemnooką złych słów cedzonych kropla
po jadowitej kropli zbieranych dzień za dniem
skończonym nienawistnym braterstwem cieni
publicznych..

Do północy korzeni krzykiem zostałem sam na sam
tylko i w cztery oczy na straży tajemnicy człowieczej
samotności wołanie w przestrzeń i miejsce tęsknoty
do wspomnień co zgrane z wołania wiatru
poganianego na spotkanie sam na sam tylko i w
cztery oczy jak samotne pod powiekami czarne
źrenice...

Krótko biegnąc oddechem ku przeciwległym brzegom
Tajemnicy na krawędzi spóźnienia Ty i Ja
spełniłszy sen kolorowy spóźniony o dwie co
najmniej różowe dekady założeń planów zobowiązań
zmiennych stanów świadomości samych siebie w
kobiecości westchnień wyraźnych i zamilczeniach
zupełnie niemęskich...

Karmiony łapczywie palcem tym od pocałunków
malowanych szminką po drugiej stronie kryształu na
świętecznie podanym do zakąsek i wina czerwonego
krwią przymierza zawartego pośród ciszy spojrzeń
ukradkiem porzrzucanych tu i ówdzie spod jabłoni
ku gruszy owocem brudno-złotym jak spatynowany
pierścionek na szczęście nie na pamiątkę lecz ku
zachęcie i na skosztowanie...

Wibruje światłem przyćmionym namiętność
uwiedziona na skraju terażniejszości odmłodzonej
przed chwilą rubinem starego wina doskonałości
krzywizn oku miłym dotknięciem nagłośnionym
przeciągłym westchnieniem ciszy w obawie przed
spłoszeniem myśli słów uczynków zmyślanych dłonią
na Twoim ciele...

Synoptycznie dłońmi po krawędzi znajomości
zsunęliśmy ochronną ciszę w milczeniu serwując
chłodnym okiem zaproszenie ognia wrażeń
niezdolnych do zapisania tęsknot i rozkoszy
wspomnień dodanych drobnym pismem wystukany
w sercu i w duszy głodnej dotyku palcami jednym za
drugim...

Cisza koloru malin zarośniętych bluszczem
nieobecności prawdy o istnieniu próbując powiedzieć
sumieniu o sobie krzycząc donosi nieświadomie na
siebie samą przed Najwyższym Sędzią stając ze
wstydem milczenia bezwstydnym wzrokiem mierząc
swą nagość...

Zamalowałem na szaro przedświt różany mgłą ślepa
niedojrzałością potykając się mimowolnie o swoje
imię nowe nieprzyjazne środowisku w którym
spośród kobiet Ty jedynie współczesna w dobrym
stylu bytem nieposkromionym związujesz się z
klasyką greckich antyków...

Ze skosmaconych traw po drugiej strony księżyca
wstaliśmy pnąc się do góry nogami przewracając los
nieczuły na próżne słowa planów ułożonych nie na
poczekaniu dla dwojga w podróży na kontynent
nieskromnie wygrany na loterii zauroczonej dłoni
odciskami na piasku o zmroku...

Pozornym brakiem zainteresowania czułość i
wrażliwość spędzała sen z powiek ociężałych pod
pocałunkiem złożonym z dwóch warg muśniętych
językiem wymownym słowem co do tej pory
nieśmiałe i niezaradne przy spotkaniu w kolejce do
tęsknoty za bliskością bez granic...

Rozneglizowanych spojrzeń balastem umocniony
wzruszał skały i rzeźbił fundamenty sumień do tej
pory skazanych na zapomnienie o istocie rzeczy i
prawdzie istnienia pocałunków nie tylko dla
rozkoszy...

Kolorów Twoich rodząca się niedojrzałość jak skórka
chleba rzucona naprzeciw wyobraźni kwiatów
malowanych księżycem na wosku wydepilowanej
teraźniejszości rozbitej okruchu lodu...

Kiedy absolutyzm serca ogon podwinał i uciekając
zwiedzał okoliczne bary szybkiej obsługi
oczekiwałem od rozumu co na posterunku trwał woli
do pomocy przydany jako wsparcie nieskończoności
dla tego co tylko stworzone na obraz i wzór
rozpisany tylko może nieco lepiej choć niezbyt
udanym charakterem...

Smutek rozpanoszony na szczęście rozpraszam i
stawiam los nieśmiało jeszcze gestem niezbyt
szerokim rzucony pod stopy przechodniów czasu i
przestrzeni na przekór pomiędzy Tobą i mną,
słońcem i księżycem, porankiem co jeszcze nie myśli
zmiernych sensem dnia szóstego co dopiero u progu
swego staje utworzenia...

Pozornie tylko kocham Cię na pozór spokojnie krwią
tętniąc po łące niespokojnej myśli gnanej
niepewnością złapaną w kaganiec i związaną węzłem
ślubem przyrzeczeniem spojrzeniem jakoby ślepym
ale pewnym jak westchnienie w ciszy zdobytej tylko
raz jeden wiecznie jak ja dla Ciebie...

Najprawdziwszym po prostu zapatrzeniem
spodziewałem się Ciebie przy sobie zachować na
drugie zrozumienie spraw co pod niebem snem
jedynie oczu sennych w punkt wybrany wpatrzonych
bez zmęczenia i obłądu choćby cienia poza tym nie
mając do stracenia nic prócz tego jedynie by Ciebie
od zapomnienia uchronić nie tylko dla siebie...

Wstecz o trzy kroki samotności zwątpienia rozpaczy
nie dając dojść do słowa które padły by zgoła
nieoczekiwanie przez nikogo niechciane nawet
deszczem obmywam twarz słońcu spalonej wiatrem
losu odmienić chcę oblicze słowem obmyślonym
nowym darem jak uśmiechem w cieniu nocy...

Umiar czy znajomość Twoich stóp ślady kierują
losem niepowodzeń listów zesłanych na północ co
czasem dobrym dla wspomnień nieskromnych
oczekiwań i pragnień nie odczytanych czasem
niedomyślnych za bardzo ale zawsze płodnych
nieskończenie twórczych zawsze zdolnych młodych i
wolnych...

Posadziłem w milczeniu drzewo nieśmiertelności
wyczekując owoców które w słońca ciszy zakochany
dałby zakochanej w słońcu i w księżycu odkrywając
wzajemność w pożądaniu bez grzechu na spotkanie z
losem nie godząc się ślepym oczy otwierając na to co
istotne tylko i wyłącznie może być z siebie darem
chcianym i zagospodarowanym szczodrze...

Nadprzyrodzona cielesność tajemnicy wspomnień
wrażeń dom budując zauważa pozorność słów
nieopatrznie puszczonej z wiatrem mów
napuszonej dla tych co nieskładnie pożerają się
nawzajem gramatycznie obrażając delikatność
sumień nawet tych co wsparły się o kamień...

Skarb ukryłem w roli bohatera wieloaktówek
pełnych zgrabnie spisanych życia rysów i znaków
szczególnych kolorów włosów oczu spod
przymkniętych powiek malowanych jak węgiel łązy
czarne które uciekają w świat i w drogę na spotkanie
tej jednej Osoby...

Siostra niechciana Śmierć uśmiechem wabi
nieskończoność przyprowadza do domu Cię
zapraszając w drogę czas by wyruszyć najwyższy i
chwalebny Boże co pomagasz przemijać oddechami
wspomnień rytm zmieniasz z dalekiej nieznajomej w
kogoś do przytulenia...

Wieczór na kształt melancholii okrył się włosem
kasztanowym przysłonił pół twarzy srebra
księżycem wykupił chwilę nie w smak wszystkim
ukrycie piękna i dobroci które kontemplujesz leżąc
na wznak w głębokiej trawie nie skazanej do tej pory
przez nikogo na zagładę...

Dorosłości opowiedziałem z niewinną swadą o Tobie
zagoniony zapominając słów wypróbowanych
krótkich a dosadnych prostych dróg nie wytyczając
wśród innych powykręcanych starością co z za firanki
wtrąca swoje trzy grosze jak przechodzień pijany
zgubiony w obcym mieście nad ranem...

Świtem gdybania nad dotkliwą wątpliwością losu
ironia przyziemnie smutnym głosem ochrypłym od
nawoływania słów niezrozumiałych bosych śladów
po rankiem złożonych na zimnej rosie kaskadą
zieleni powiększonej spływa spod palców Twojej
odwiecznej Dobroci...

U źródła krzeszę ogień nocy ciemność zapalam pod
powiekami Tajemnicy oddechu uspokojonego
zapominaniem strachu o zwykłość natury rzeczy
nieposkromionych oczu co jakby na uwięzi woli
kierują się to tu to tam i ówdzie znajdziesz ich ślad
w słowach które zdołasz ułożyć wykrztusić z trudem
i zapamiętać...

Zabalowałbym z Twym bliźniaczym cieniem w ciszy i
w milczeniu pod ciężarem dłoni wezbrane ciepłym
milczeniem na ustach położonej w pół uśmiechu i w
pół słodczy smaku jak westchnienie pocałunków
zaskoczenie...

Dzisiaj u skłonu myśli na oblicze ziemi łagodnej
wysyceniem czerwieni bezdechem zachodu słońca
wysnuty bajkopisaniem świerszczeniem młota
metalicznym w noc dzwonieniem przechodzisz obok
nie dyskretnie zachmurzony a mimo to po prostu
niezauważalnie mijasz mnie cichym krokiem i ze
sobą zabierasz w bez końca drogę...

Przespacerowany romans ukradłem z ławki
wydrapany rylcem jak małym palcem na skórze
dłoni odczytałem Tajemnicę patrząc w oczy wpadłem
głęboko w przestrzeń duszy świata i Ciebie w
świecie na ławce na skraju zieloności świata...

Zabliźniły się rany słowem kłusane raz za razem ze
śniegiem stopnieje pamięć słów niezapisanych i
niewypowiedzianych do końca zostaną choć być
zdam się samotny Wam na przekór to z Tobą zostaną
chłonąc zachwyty rodziną i światem...

Zapisałem sobie raz na zawsze w kolejkę myśli słów niewypowiadalnych parę werbalizacji uczuć emocji skrawków niezszytych w jedną całość nigdy wcześniej wrażeń własnych intymnych i nie do sprzedaży ani nawet wymiany...

Łakomie kąsam życie uspołecznione w pary dobrane
może niezbyt udane i czasem udawanie szczęścia aż
nazbyt nieczytelnym się staje każda dołączona
gwarancja nie mówiąc już o instrukcji obsługi...

SPIS TREŚCI

Położyłem Cię na wilgotnej ziemi
Nagość Twoja strojna moich palców
Napisałem siebie i pod kamieniem schowałem
Zbyt dosłowny jestem w codzienności
To wszystko jest szalone od stóp aż do ust
Dłońmi szeptem spacerowym szelestem
Słonecznoskrzydła o zapachu intensywnie
Krokoistna w gonitwie tęsknoty
Ocieniona zachwytem dotknięta
Zagadniona pytaniem tajemnicy co ciekawa
Metamorfozy żarem słów nie oddają ciepła
Kosmyk pamięci wokół paluszka owinięty ciasno
Głodnych całowaniem policzków nieskromnych
Zaklinam Cię czułości pocałunku cicha

Ziewaniem daję znać o drodze do raju
Zwrócona ku mnie uwagę odwracasz
Kwiatem jesteś słowem zadbanym wiosną
Zakładam że nic się nie stało nogę na nogę
Plotka liściem urwanym z dalekiego kraju
Drzazga wbita do bólu życie rozkołysze
Przelewam zachód słońca w pustą przestrzeń
W pokoju zostawiłem dom za sobą
Kwiatów zerwanych wczorajszym wieczorem
Między wczoraj i dziś powstał poemat
Pogrążona w mej pamięci zamilkłaś na zbyt długo
Wczoraj odeszło w nieskończoność
Zagwieżdżona na nieba pokłonie ku ziemi
Pachnący mrokiem niedzielny tulę
Szukam Cię w natchnieniu zapisuję siebie

Na zewnątrz blaskiem opleciona wspomnieniami
Do horyzontu rozkrzyczanych białych mew
Koronkowo słowo przetykam drugim słowem
Zemsta korowodów szkarłatem pozorów snuje się
Do północy korzeni krzykiem zostałem sam na sam
Krótko biegnąc oddechem ku przeciwległym brzegom
Karmiony łapczywie palcem
Wibruje światłem przyćmionym namiętność
Synoptycznie dłońmi po krawędzi znajomości
Cisza koloru malin zarośniętych bluszczem
Zamalowałem na szaro przedświt różany
Ze skosmaconych traw po drugiej strony księżycy
Pozornym brakiem zainteresowania czułość
Roznegliżowanych spojrzeń balastem
Kolorów Twoich rodząca się niedojrzałość

Kiedy absolutyzm serca ogon podwinął i uciekając

Smutek rozpanoszony na szczęście rozpraszam

Pozornie tylko kocham Cię na pozór spokojnie

Najprawdziwszym po prostu zapatrzeniem

Wstecz o trzy kroki samotności zwątpienia

Umiar czy znajomość Twoich stóp

Posadziłem w milczeniu drzewo nieśmiertelności

Nadprzyrodzona cielesność tajemnicy

Skarb ukryłem w roli bohatera wieloaktówek

Siostra niechciana Śmierć uśmiechem wabi

Wieczór na kształt melancholii okrył się

Dorosłości opowiedziałem z niewinną swadą

Świtem gdybania nad dotkliwą wątpliwością losu

U źródła krzeszę ogień

Zabalowałbym z Twym bliźniaczym cieniem

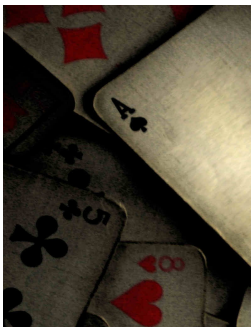
Dzisiaj u skłonu myśli na oblicze ziemi

Przespacerowany romans ukradłem z ławki

Zabliźniły się rany słowem kęsane raz za razem

Zapisałem sobie raz na zawsze w kolejkę

Łakomie kąsam życie uspołecznione w pary



Synopsis
{ - συνοψις - }

+18

+18